

ROPUCHA

KRASNOLUDEK

Hans Christian Andersen;
tr. Cecylia Niewiadomskiej

*** A Distributed Proofreaders Canada eBook ***

This ebook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the ebook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the ebook. If either of these conditions applies, please contact a FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. IF THE BOOK IS UNDER COPYRIGHT IN YOUR COUNTRY, DO NOT DOWNLOAD OR REDISTRIBUTE THIS FILE.

Title: Ropucha; Krasnoludek

Date of first publication: 1908

Author: Hans Christian Andersen; tr. Cecylia Niewiadomska

Date first posted: Aug. 8, 2016

Date last updated: Aug. 8, 2016

Faded Page eBook #20160807

This ebook was produced by: Michal Jablonski, Cindy Beyer & the online Distributed Proofreaders Canada team at <http://www.pgdpCanada.net>

BIBLIOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 9.

H. ANDERSEN

ROPUCHA.
—
KRASNOLUDEK.

PRZEKLAD
C. NIEWIADOMSKIEJ



WARSZAWA
NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1908.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ROPUCHA.

Studnia była głęboka i na długim sznurze musiano spuszczać wiadro, aby dostało do wody; ciężko też było pełne wyciągnąć do góry i ręka zaboląła, zanim stanęło na zrębie^[1]. Woda w studni była chłodna, a przezroczysta jak kryształ, ale słońce w jej zwierciadle nie przeglądało się nigdy; żaden promyk nie dosięgnął do dna studni, choć zaglądały do środka ciekawie, podziwiając zielony mech i wodorosty, którymi porastały kamienne jej ściany.

W studni mieszkała z dawna cała rodzina ropuch. Dostały się tu przed laty przypadkiem, dzięki babce, która przyjechała w wiadrze, i nie miały zamiaru powracać na ziemię. Zielone żabki, które jeszcze dawniej założyły tutaj swoje państwo, gościnnie powitały przybyszów, uznały w nich krewnych i nazwały ich gośćmi. Ale goście osiedlili się jakoś na dobre, utrzymując, że nie tak łatwo o przyjemniejsze mieszkanie na świecie, że tutaj mają zupełną swobodę, mogą przebywać z równym bezpieczeństwem i w wodzie i na lądzie. Łądem nazywały one wilgotne i porośnięte mchem kamienie, stanowiące ściany studni.

Razu jednego babka ich, stara ropucha, dostała się przypadkiem wraz z wodą do wiadra. Nie wiedziała, co począć, kiedy ciągniono ją w górę. Nagle oślepiający blask słońca pozbawił ją prawie wzroku, uczuła ból w oczach, więc przerażona, wyskoczyła z wiadra, uderzyła o kamień i z wielkim pluskiem i hałasem wpadła znowu do wody. Przez trzy dni po tym wypadku leżała chora na ból krzyża, ale wkońcu przysła do siebie i odzyskała zdrowie.

Rozumie się, że niewiele mogła ona opowiedzieć wnukom o tej podróży i nieznanym świecie, który się rozpoczynał poza studnią, to wiedziała jednakże, czego się domyślały zresztą wszystkie żaby, że świat inny istnieje, tam na górze. Mogłaby ona coś o nim powiedzieć, gdyby naprawdę chciała, ale nie lubiła mówić i nawet na pytania zwykle odpowiadała milczeniem.

— Gruba, niezgrabna, brzydka — mówiły o niej żabki zielone z niechęcią — z pewnością i jej dzieci będą kiedyś takie.

— Być może — odpowiedziała urażona ropucha — lecz w głowie jednej z nas mieści się klejnot^[2] niezmiernej ceny, może w mojej własnej. A z was żadna nie posiada nic takiego.

Żabki zielone szeroko otworzyły oczy, słuchając o drogocennym klejnocie, ale spostrzegłszy, że młode ropuchy patrzą na nie z wielką dumą, wykrzywiły się pogardliwie i umknęły w głąb studni.

Ropuszeta tymczasem kiwała głowami i wyciągały tylne nogi na znak zadowolenia; każda myślała, że zapewne ona ma w głowie drogi klejnot, i postanawiała bardzo ostrożnie obchodzić się z swoją osobą.

Przez kilka dni zaledwie ośmielały się skakać, a karki tak im zeszywniały od prostego trzymania głowy, że dłużej znieść tego nie mogły. Otoczyły więc babkę i zaczęły pytać: co to jest klejnot? dlaczego tak drogi? i dlaczego dumne być z niego powinny?

— Klejnot — odparła babka — jest to coś tak wspaniałego, że się wcale opisać nie da. — Temu, kto go posiada, sprawia rozkosz niewymowną, w innych zaś budzi zazdrość. Zresztą nie pytajcie mnie więcej, bo nic już nie odpowiem.

— To już wiem teraz, że ja nie mam w głowie klejnotu — zawołała najmłodsza i najbrzydsza z ropuch, tak szkaradna, że trudno było patrzeć na nią. Skądby się we mnie wzięła rzecz tak droga? A jeżeli w innych ma to budzić zazdrość, to mnieby nie cieszyło. Nie chcę żadnego klejnotu, wolałabym wydostać się tam, na brzeg studni i świat zobaczyć. To musi być coś cudownego!

— Zostań, gdzie jesteś, kiedy ci tu dobrze — odrzekła stara — tu przynajmniej znasz wszystko i nie potrzebujesz niczego się obawiać. Uważaj tylko, żeby wiadro cię nie potraściło, bo mogłoby cię zabić, a gdyby cię przypadkiem zaczerpnęli z wodą, pilnuj się dobrze, żebyś nie wypadła. Nie każdy umie tak, jak ja, zręcznie wyskoczyć, a złamać nogę niewielka przyjemność.

— Kwak, kwak! — potwierdziła mała ropucha, — co znaczyło w jej języku: ach, ach, moja babciu!

Z każdym dniem jednak goręcej pragnęła wydostać się na górę; tęsknota do jasnego, nieznanego świata, który olśniewa blaskiem — jak mówiła babka — wzrastała w niej codziennie, snu ją pozbawiała, nie dawała spokoju. To też gdy dnia pewnego pełne wody wiadro zatrzymało się na minutę przy kamieniu, gdzie żabka rozmyślała, siedząc na mchu zielonym, nie zawahała się ani sekundy i wskoczyła do wody. Nie miała nawet czasu zastanowić się nad tem, co zrobiła, gdy olśnił ją blask wielki i jednocześnie prawie wyleciała z wiadra na wilgotną ziemię.

— Tfy, cóż za potwór! — zawołał parobek, który wylewał wodę.

I kopnął ropuchę butem z drewnianą podeszwą tak mocno, że ogłuszona, upadła o kilka kroków, między gęste pokrzywy.

Kiedy przysła do siebie, ujrzała dokoła las cienkich łodyg i zielonych liści, przez które przedzierały się plamki złociste. I zrobiło jej się tak miło, jak ludziom, kiedy w cienistym lesie widzą złote słońce, przeświecające przez gęstwiny liści.

— O, tu ładniej niż w studni! — zawołała zachwycona. — Tutaj chciałabym przeżyć całe życie.

I położyła się na mokrej ziemi, pod liśćmi pokrzywy. Tak przeleżała godzinę, dwie prawie. Ale ciekawość znowu budzić się zaczęła.

— Co też tam dalej być może? — myślała. — Kiedy aż tutaj doszłam, muszę spróbować jeszcze zejść i trochę dalej. Czemużbym nie miała poznać całego świata?

I posuwając się szybko, jak mogła, doszła do drogi. Oblało ją słońce, gorące, jasne, kurz obsypał całą, kiedy na drugą stronę wpoprzek przechodziła.

— Tutaj to prawdziwie sucho — rzekła do siebie. — Strasznie sucho. Aż dusi!

Przedostała się wreszcie na drugą stronę drogi, gdzie był rów dość głęboki i wilgotny. Nad rowem rosły niezapominajki, spirea^[3], białe ciernie, a na płocie pięły się dzikie powoje, osypane blado-różowymi kwiaty. Motyl zleciał z kwiatka i usiadł na drugim. Ropucha pomyślała, że to kwiat oderwał się od łądygi i wzleciał do góry, aby z wysoka lepiej świat obejrzyć. To wydawało jej się całkiem naturalne.

— O, gdybym ja tak unosić się mogła! — pomyślała z zazdrością. — Kwak, co za wspaniałości! Jakże ten świat piękny!

Osiem dni szczęśliwych przeżyła ropucha w rozkosznych rowie, gdzie nie brakowało żywności, ani wygod. Dziewiątego dnia jednak powiedziała sobie: pójdźmy dalej. Wprawdzie — czyż mogła znaleźć na świecie coś piękniejszego i wspanialszego? Czegóż jej tu brakowało? — Chyba towarzyski, choćby zielonej żabki. Właśnie ostatniej nocy wydawało jej się, że wiatr przynosi dobrze znane głosy, zwiastujące bliskość krewniaków.

— Co to za życie! — rozmyślała sobie. — Wydostać się ze studni, odpocząć w pokrzywach, przebyć taką suchą i palącą drogę, wreszcie ten rów wspaniały! Ale to niedosyć. Dalej, naprzód! Muszę odnaleźć ropuchy albo zielone żabki; sama natura wystarczać nie może, każdy potrzebuje towarzystwa!

I wyruszyła dalej.

Przez łąkę doszła do dużego stawu, zarośniętego trzcina, i zaczęła się przechadzać dookoła.

Inne żabki zauważyły ją wkrótce.

— Dzień dobry. Jak się tu pani podoba? Przepraszam, może panu? Zresztą to wszystko jedno, każdy gość mile jest u nas witany.

Zaprosiły ją zaraz na wieczorny koncert w domowym kółku: — amatorskie siły, wiele zapału, na drobiazgi trzeba być wyrozumiałym. Co się tyczy przyjęcia: staw pełen czystej wody i co sobie kto znajdzie. Jak w domu, bez ceremonii.

I znowu zabawiła ropucha dni kilka w przyjemnym towarzystwie. Potem zapragnęła iść dalej. Czowała dziwną tęsknotę do czegoś lepszego, a nieznanego.

— W drogę — rzekła sobie.

Tyle rzeczy jeszcze miała do poznania! Nad nią świeciły gwiazdy, jak złote

iskierki, księżyc i słońce wypływały na niebiosa, posuwały się wyżej, wysoko, wysoko, i zniżały napowrót.

— Kto wie, czy ja i teraz jeszcze nie jestem w studni — myślała żaba — prawda, większej i piękniejszej, ale zawsze głębszej. Chciałabym się znowu wydostać tam, na górę! Och, jak tego pragnę! Jaka tęsknota pociąga mię dalej, wyżej, bez końca!

Spojrzała na błyszczący, jasny księżyc w pełni i pomyślała znowu:

— A może to jest wiadro, które się spuszcza na dół? Gdybym w nie wskoczyć mogła, gdzieby mnie wyniosło? A może słońce jest tem wielkiem wiadrem?

Takie błyszczące i takie ogromne! Tam mogłybyśmy pomieścić się wszystkie. Trzeba tylko nie ominąć sposobności i uważać. Trudno to dosyć, bo oślepia blaskiem, ale kto chce coś poznać...

— O, tak mi w głowie coś świeci chwilami! Jaśniej niż klejnot, o którym mówiła nam babka. Tego nie mam z pewnością, ale co mi po nim? Nie rozumiem, jaką rozkosz sprawiać może. Ach, i nie myślę o nim wcale. Dalej, dalej w drogę, do szczęścia, do światła! Czuję w sobie wielką wiarę, chociaż i obawę razem. Co mnie znów czeka?

Byle naprzód, prosto!

Posuwając się zwolna, jak każda ropucha, nasza znajoma znalazła się wreszcie na drodze, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się ludzkie mieszkania, otoczone kwiatowymi i warzywnymi ogródkami. Zatrzymała się na grządce kapusty, aby odpocząć trochę.

— Co tu stworzeń na świecie, których nie znałam dotąd! — mówiła sobie. — I jaki ten świat niezmierny! A jaki piękny! Nie trzeba tylko siedzieć wciąż na jednym miejscu, kto chce go poznać.

— Jak tu zielono! — dodała wesoło, rozglądając się po główkach kapusty.

— Wiem o tem — odpowiedziała gąsienica, siedząca na młodej główce. — Mój liść jest tu największy, zasłania pół świata, ale mnie to nic nie szkodzi.

— Ko, ko, ko! zagdakały kury, zbliżając się do grzędy i obchodząc ją wkoło. Kogut szedł na czele, a wzrok miał doskonały, z daleka ujrzał grubą gąsienicę na pomarszczonym liściu i dziobnął ją zaraz tak mocno, że upadła na ziemię i wyla się z bólu. Kogut spojrzał na nią naprzód jednym okiem, następnie drugim, gdyż nie wiedział, co to ma znaczyć i co może wyniknąć z takiego kręcenia.

— To mimowolne — pomyślał na koniec i podniósł głowę, aby ją dziobnąć raz drugi. Przestraszona ropucha poskoczyła biedacze na pomoc i znalazła się nagle przed dziobem koguta.

— A to co? — rzekł ptak zdziwiony. — Cóż to za potwór? Nędzne stworzenie

ma widać obrońców!

I odwrócił się pogardliwie.

— Niema się o co dobijać — dodał jeszcze, odchodząc. — Zielony jakiś okrucz, — a kręci się, — jeszczeby mię w gardle drapało.

Tak mądre zdanie przekonało od razu wszystkie kury, i żadna nie spojrziała nawet na gąsienicę, oddalając się w stronę przeciwną.

— A to się wykrcęłam! — zaśmiał się zielony robak. — Nigdy w niebezpieczeństwie nie trzeba tracić przytomności. Wiedziałam, że ich odstraszyć potrafię.

Z zadowoleniem spojrziała na żabę, ale zaraz westchnęła.

— Cały kłopot, że teraz trudno będzie znowu na liść się dostać. Ha, cóż robić i z tem przecież dam sobie jakoś radę. Nie od parady mam głowę na karku. Ale gdzież on się podział?

— Tu jest — rzekła ropucha, ze współczuciem patrząca na słabe maleństwo. — Bardzo mi przyjemnie, że moją brzydotę dopomogłam pani w tej biedzie. Kogut widocznie przestraszył się mojej osoby.

— Cóż to ma znaczyć? — spytała dumnie gąsienica. — Sama się obroniłam od koguta i pomocy od nikogo nie potrzebowałam. Ale jesteś rzeczywiście tak szkaradna, że niemiło patrzeć na ciebie. Proszę cię więc, odejdz stąd i zostaw mię w spokoju. Oto mój liść! Zaraz się na niego dostanę. Dobrze mówi przysłowie, że najlepiej w domu. Każdemu najprzyjemniej u siebie. Ale muszę wejść trochę wyżej.

— O, tak, wyżej! — powtórzyła z westchnieniem ropucha. Każdy chce wyżej. I ona czuje to wielkie pragnienie, tę tęsknotę, która mnie naprzód popycha. Tylko biedaczka w złym dzisiaj humorze. I nie można się dziwić: taki przestrach! Wszyscy dążymy naprzód, wyżej, wyżej!...

I starała się podnieść głowę tak wysoko, jak pozwalała na to krótka, sztywna szyja.

Na dachu chaty w gnieździe zaklekotał bocian, potem zaklekotała pani bocianowa. Żaba wypukłe oczy zwróciła w tę stronę.

— Ach, ci dopiero wysoko mieszkają! — zawołała z zachwytem. — Ktoby się tam mógł dostać!

Na podwórzu przed chatą stało dwóch studentów, jeden z nich był poetą, drugi przyrodnikiem; jeden pięknymi słowy opisywał wszystko, co wzrusza, cieszy, boli, lub zachwyca, — drugi we wszystkim szukał początku i prawdy. Obaj byli dobrzy i poczciwi chłopcy, chociaż na każdą rzecz zapatrywali się odmiennie.

— Patrzo, jaka ropucha — rzekł nagle przyrodnik — pyszny egzemplarz! Mam wielką ochotę włożyć ją do spirytusu.

— Masz już dwie przecież w spirytusie — odparł poeta — pozwólże tej oddychać jeszcze czystem powietrzem i cieszyć się, że żyje.

— Kiedy taka brzydka. Prawdziwy okaz.

— Znajdziesz więcej takich. Gdybyś wiedział przynajmniej, że znajdziesz w jej głowie ten bezcenny klejnot, no, kto wie, czy wtedy sambym ci nie doradził otworzyć jej czaszkę.

— Klejnot! Ach, ty poeto! Zawsze wolisz baśnie od nauki i prawdy.

— Nie — odparł poeta — prawda jest piękna, więc ją kochać muszę, ale sam powiedz, czyż to nie piękne podanie, że ropucha, ten najbrzydszy z naszych płazów, często ma w głowie klejnot niezmiernej wartości? W podaniach ludu nieraz kryje się myśl wielka i poetyczna. Czyż i ludzie tacy jak np. Ezop, nie mieli —

Żaba nie słuchała więcej, nie rozumiała tej mądrej rozmowy; poskoczyła dalej, nie wiedząc nawet, że szczęśliwie uniknęła śmierci w spirytusie, i zastanowiła się nad jednym słówkiem, które ją uderzyło.

— I ci mówili także o klejnocie — rzekła do siebie — babka wie to dobrze i zna wiele rzeczy. Bardzo jest mądra, szkoda, że nic mówić nie chce. A co do mnie, cieszę się, że nie posiadam tego skarbu w głowie, mógłby mnie tylko narazić na nieprzyjemności.

W bocianiem gnieździe bocian przemawiał do dzieci, które ciekawie z góry przypatrywały się studentom.

— To są ludzie, najmądrzejsze na świecie stworzenia. Wiele rzeczy umieją, chociaż — rozważywszy, co umieją bociany, można się przekonać, że w niejednym ich przewyższamy. Mowa naprzykład. Bardzo są z niej dumni, patrzcie tylko, jak prędko ruszają ustami. A jednak — mojem zdaniem — co wart taki język, którego o dzień drogi już nikt nie rozumie? Bocian rozmówi się wszędzie z bocianem, na północy, w Egipcie, na południu, w zimnych i ciepłych krajach, wszędzie jednakowo wypowiadamy swoje myśli. To jest język!

— I latać ludzie nie mogą w powietrzu, jak my, bociany. Wprawdzie urządzili sobie jakieś linje i drogi, po których z szybkością mogą przenosić się z miejsca na miejsce, ale — po pierwsze, co to za wygoda i co za porównanie z naszym lotem? a po wtóre — ileż widziałem wypadków, roztrzaskanych pociągów, pozabijanych ludzi! Brr! aż mnie mrowie po dziobie przechodzi.

— Zresztą świat bez ludzi mógłby się obejść zupełnie. My nie odczulibyśmy wcale tego braku. Byle tylko zostały żaby i robaki.

— To mi mowa! — rzekła ropucha, która wysłuchała jej z wielkim podziwem od początku do końca. — Bocian jest najmądrzejszą istotą na świecie. A jak wysoko mieszka. Nikogo jeszcze tak wysoko nie widziałam. I pływać może w

powietrzu! — zawołała zdumiona, widząc, jak wzniosł się z gniazda z rozpostartymi skrzydłami.

Tymczasem w gnieździe pani bocianowa zaczęła opowiadać dzieciom o Egipcie, gdzie się miały udać na zimę. Mówiła im o długiej, dalekiej podróży, o rzece, która kraj cały zalewa i zostawia muł niezrównany, pełen przewybornego pokarmu. Ropucha słuchała z wielką ciekawością tych opowieści nowych, a zachwycających.

— Muszę się dostać do Egiptu — pomyślała. — Muszę poznać ten kraj cudowny! Tyle rzeczy na świecie jest jeszcze do poznania! Żeby mię tylko bocian zechciał zabrać. Takbym mu była wdzięczna. Ach, wiem, że się dostanę w ten lub inny sposób, — wszystko mi jakoś wiedzie się na świecie. Wierzę teraz, że wszystko tutaj zrobić można, jeśli się szczerze pragnie, jak ja, całym sercem. O, wolę to pragnienie moje nieskończone, które mi rozkosz sprawia, niż najdroższy klejnot.

Nie domyślała się, że to pragnienie, które ją wiecznie naprzód i wyżej pociąga, że ta tęsknota do rzeczy nieznanych, wielkich i pięknych, jest właśnie klejnotem, który jaśniał w jej głowie blaskiem siły i radości.

Nagle tuż obok siebie ujrzała bociana, który otworzył dziób, aby ją porwać.

Więc marzenie spełnione!

Dziób zamknął się mocno, wiatr zaświszczał jej w uszach, ból przeniknął ciało, ale leciała w górę, może do Egiptu, wyżej i wyżej!

Z oczu jej trysnęły promienie iskier, a z paszczy szerokiej wyrwał się krótki okrzyk:

— Kwak, ach!

I ropucha nie żyła. Z ciała uleciało życie, z oczu trysnęły iskry. Gdzież są teraz?

Zabrały je promienie słoneczne, zabrały drogi klejnot z głowy ropuchy. I gdzież go zaniósły?

Pytaj o to poety. On jeden tylko widzi i rozumie te tajemnice, on ci odpowiedzieć może. On ci odpowie w baśni. A wiesz, co odpowie?

— Szukaj go w słońcu!

Szukaj, choć blask cię oślniewa. Niewszystko widzieć możemy oczyma — ciała naszego, ale kiedyś, kiedyś, ujrzymy może cuda, które dziś przeczuwa tylko tęsknota jakaś i pragnienie, ukryte, niby klejnot tajemniczy, w duszy człowieka.

[1] Zrąb — brzeg.

[2] Klejnot — rzecz drogocenna.

[3] Spirea — roślina krzaczasta, kwitnąca drobnymi białymi kwiatkami.

KRASNOLUDEK.

W pewnem dużem mieście, na lichem poddaszu mieszkał prawdziwy student; *prawdziwy* — to znaczy, że był ubogi i kochał naukę. Na dole w tym samym domu mieszkał prawdziwy kupiec, a tu *prawdziwy* — znaczy, że posiadał sklep duży, pełen dobrego towaru, i dom, który także był jego własnością.

U kupca też zamieszkał krasnoludek, czyli kobold, bo różnie w różnych krajach nazywają te małeńkie istotki, w dzień starannie ukrywające się przed nami, a w nocy czuwające nad naszą pracą i majątkiem, jak niewidzialne duchy opiekuńcze. Ludzie też bardzo cenią pomoc krasnoludków i starają się pozyskać ich przyjaźń przez dary, jakie dla nich zostawiają.

Złym ludziom krasnoludki pomagać nie lubią, a nawet często szkodzą, aby ich ukarać; nie mieszkają też u nich. Dlatego stały pobyt krasnoludka szczęście i zaszczyt przynosi domowi, bo zarazem świadczy o jego zacności.

Nasz krasnoludek zamieszkał u kupca, bo tu było wygodnie, ciepło i dostatnio, a każdego roku na gwiazdkę zastawiano dla niego w sklepie obok kasy na czyściutkiej serwecie całą miseczkę miodu i oselkę najlepszego, świeżego masła. Stać było na to kupca, ale krasnoludek umiał cenić tę pamięć i trzymał się sklepu, sumiennie chroniąc od zniszczenia, co w nim było najdroższego.

Raz — wieczorem wszedł student tylnymi drzwiami od podwórza, aby sobie kupić świecę i kawałek sera. Nie miał kogo przysłać po to, więc sam przyszedł, zabrał sprawunki, zapłacił, a kupiec i kupcowa skinęli mu życzliwie na dobranoc. Było to bardzo uprzejmie z ich strony, gdyż kupiec miał sklep własny i dom cały należał do niego, a kupcowa posiadała jeszcze dar wymowy. Pod tym względem niełatwo jej było dorównać!

Student uklonił się też bardzo grzecznie i siedł ku drzwiom, lecz stanął i zaczął uważnie czytać kartkę papieru, w którą mu ser zawinięto. Była to kartka z bardzo starej książki, której ludzie nie powinni byli niszczyć, gdyż zawierała prawdziwą poezję.

— Mam tego więcej — odezwał się kupiec — jakaś staruszka przyniosła mi cały zeszyt tych kartek za odrobinę kawy, daj mi pan parę groszy, a oddam ci resztę.

— O, tak! — zawołał student — nie mam wprawdzie pieniędzy, lecz daj mi pan te kartki zamiast sera. Wystarczy mi chleb na wieszczę. Grzechem byłoby zniszczyć taką książkę. Jesteś pan dobrym kupcem i zacnym człowiekiem, lecz na poezji znasz

się chyba tyle, co ta stara beczka od papierów w kącie.

Było to powiedziane niezbyt grzecznie, szczególnie względem beczki, która mogła się obrazić, ale kupiec się rozśmiał i student śmiał się także — przecież to tylko żarty.

Krasnoludek jednak oburzył się, że biedny student, który nie ma kawałka sera na wieczerzę, śmie mówić podobne rzeczy człowiekowi, mającemu w sklepie śmietankowe masło i tyle nieporównanych przysmaków.

To też gdy noc nadeszła, sklep zamknięto i wszyscy spokojnie zasnęli, wyszedł krasnoludek ze swojej kryjówki, udał się do sypialnego pokoju i wziął od pani dar wymowy. We śnie go wcale nie potrzebowała, a on mógł po kolei obdarzać nim różne przedmioty, które tym sposobem równie dobrze, jak pani kupcowa, wypowiadały swoje myśli i uczucia. I to też było dobrze, iż tylko kolejno mogły się posługiwać własnością swej pani, gdyż inaczej mówiłyby wszystkie razem i byłby straszny hałas.

Najpierwej krasnoludek oddał dar wymowy beczce, w której mieściły się stare gazety.

— Czy to prawda — zapytał — że nie wiesz, co znaczy poezja?

— Jeszczebym tego nawet nie wiedziała! — odrzekła beczka. — Poezja to jest przecież to, co tak nierówno drukują zawsze u spodu w gazetach, a niekiedy wycinają potem nożyczkami. Ale to bardzo rzadko, i mogę cię zapewnić, iż więcej poezji znajduje się we mnie w tej chwili, niż w tym dumnym studencie. A przecież ja jestem tylko ubogą beczką w porównaniu z naszym panem, zamożnym kupcem!

Następnie krasnoludek oddał dar wymowy młynkowi od kawy nowego systemu. No, ten przynajmniej nie marnował czasu, kiedy mógł mówić. Potem, pożyczona tak niewinnie własność pani, udzielona została beczce masła i kasie z pieniędzmi; wszyscy jednak podzielali zdanie beczki od papierów, widocznie miała ona dużo doświadczenia i można jej było zaufać. Bo przecież jeżeli wszyscy mówią jedno i to samo, to musimy im przyznać słusność.

— No, teraz mogę śmiało odpowiedzieć studentowi — rzekł do siebie krasnoludek i nie zwłóczęc ani chwili, wymknął się na schody, na strych prowadzące.

W lichej izdebce świeciło się jeszcze, krasnoludek zajrzał przez dziurkę od klucza i zobaczył, że student czyta podartą książkę, którą nabył w sklepie za kawałek sera.

Ale jakąż tu jasność koło niego! Olsniewający promień tryska z kartek książki, niby pień drzewa, rozwija się w górze na tysiące gałęzi nad głową studenta, a każdy listek na nich pełen cudownego blasku, a kwiat każdy jak śliczna żyjąca twarz

dziecka, dziewicy, bohatera, a owoc — to gwiazda. I wszystko śpiewa, dzwoni jakąś pieśń nadziemską, której dźwięki płyną, jak słodka muzyka.

O takiej wspaniałości nie śniło się nawet nigdy krasnoludkowi, nie byłby uwierzył, że coś podobnego można zobaczyć na świecie, a tymczasem tutaj — w ubogiej izdebce...

Patrzył i patrzył przez dziurkę od klucza wspinając się na palce i nie mogąc pojąć ani nacieszyć się taką pięknością.

Nakoniec światło zgasło. Może student zamknął książkę, a może mu się świeca wypaliła i poszedł spać. Krasnoludek jednakże nie odchodził od dziurki, gdyż cudowne pieśni i nadziemska muzyka brzmiały w izdebce ciągle, niby boska kołysanka dla wybranego ducha.

— Nie przeczuwałem nawet, że tu takie czary! — szepnął wreszcie maleńki. — Mógłbym się tu przenieść i zamieszkać zupełnie.

Zaczął myśleć o tem, gdyż był istotą rozważną i mądrą. Nakoniec westchnął.

— A miód! — szepnął ze smutkiem. — Do jedzenia nic tu niema.

I zszedł po schodach napowrót do kupca.

W samą porę powrócił, gdyż niewstrzeżliwa beczka byłaby zupełnie zużyła dar wymowy pani kupcowej. Wygadała już wszystko, co się w niej mieściło, zaczynając od wierzchu, a teraz właśnie zamierzała powtórzyć jeszcze to samo na nowo, zaczynając od spodu dla większej dokładności. Krasnoludek śpiesznie odjął jej wymowę i zwrócił pani kupcowej, w ustach której mogła wypocząć do rana.

Od tego czasu jednak cały sklep od kasy aż do najcieńszej drzazeczki tak mocno uwierzył w rozum beczki od papierów, iż wszystkie sprzęty powierzały jej swoje sekreta, otaczały szacunkiem niewypowiedzianym, a kiedy wieczorami kupiec czytał głośno wiadomości z gazet codziennych, były pewne, iż wypowiada myśli ich czcigodnej sąsiadki.

Ale krasnoludek już teraz nie słuchał ciekawie i spokojnie tych rozmów wieczornych; on — skoro tylko błysnęło światelko w oknie na górze — śpieszył do dziurki od klucza, jak gdyby go kto ciągnął na łańcuchu. Tam ogarniało go dziwne uczucie wielkości i potęgi, jakby widział Boga samego, wśród burzy stąpającego po morskich bałwanach.

I zapominał, gdzie jest i co widzi, łzy płynęły mu z oczu, a serce wzbierało uczuciem dziwnie słodkiem i radosnem. Jakiemże szczęściem byłoby dla niego usiąść obok studenta pod drzewem jasności i widzieć, co on widzi, i czuć, co on czuje! Lecz tego mu niewolno, on przyjął gospodę u kupca, tam jego miejsce, a tu może tylko patrzeć z daleka, przez dziurkę od klucza.

Nadeszła jesień — w sieni było bardzo zimno, wiatr wdzierał się przez szpary i

ciął krasnoludka jak ostrym nożem, — lecz on czuł ból i zimno dopiero wtedy, gdy zagasło światło w lichej izdebce, gdy ucichły pieśni, które mu zabierały całą duszę.

Hu, wtedy czuł, że zimno! Kurczył się we czworo i ostrożnie zsuwał się znowu po schodach do ciepłego swego kącika. Tutaj było przyjemnie i wygodnie, tu mógł się wyprostować, ogrzać zziębnięte nogi!

A kiedy przyszło Boże Narodzenie, w sklepie przy kasie, na czystej serwecie stała miseczka miodu i osełka masła. To mi kolęda — na cały rok wystarczy do śpizarni!

Kupiec był znowu górą w sercu krasnoludka.

Pewnej nocy obudził go hałas okropny: stukano w okiennice bez delikatności, stróż nocny trąbił, uderzono w dzwony, rozległo się wołanie: gore! gore!

Wszyscy zerwali się ze snu strwożeni. Gore? Gdzie gore? Całe miasto w ogniu! Dom sąsiada się pali!

Pani kupcowa tak się przestraszyła, że wyjęła z uszu co prędzej kolczyki, aby schować je do kieszeni. Kupiec wybierał ważniejsze papiery, patenty i świadectwa; służąca ratowała jedwabną mantylkę, którą za ostatnie zasługi kupiła; każdy najdroższą rzecz pragnął ocalić.

Krasnoludek poskoczył czempredziej na górę, do izdebki studenta, który stał spokojnie w otwartym oknie i patrzył na ogień, szalejący w domu sąsiada. Niech sobie patrzy, — on pochwycił książkę, która leżała otwarta na stole, schował do swojej czerwonej czapeczki i trzymał mocno oburącz na głowie.

Teraz niech reszta spłonie: skarb najdroższy uratowany i nie zginie, póki żyje opiekuńczy duch tego domostwa, mały krasnoludek. On go w niebezpieczeństwie uchronić potrafi, oho! Już jest na dachu, siedzi na kominie i przyciskając mocno czerwoną czapeczkę, patrzy na dom płonący.

I tak siedział, dopóki nie ugaszono ognia. W tej chwili wiedział dobrze, co najbardziej kocha, co mu jest tutaj najdroższem na świecie, komu służy, — o, wiedział!...

Ale kiedy ogień ugaszono, powrócił do rozsądku. Tak, to bardzo piękne i bardzo drogie — ale...

— Muszę służyć im obu — rzekł nakoniec. — Zupełnie kupca porzucić nie mogę, przez wzgląd na miód i masło!

TRANSCRIBER NOTES

Misspelled words and printer errors have been corrected.

Inconsistencies in punctuation have been maintained.

A cover was created for this eBook.

[The end of *Ropucha; Krasnoludek* by Hans Christian Andersen; tr. Cecylia Niewiadomska]